„Dobry wieczór Monsieur Chopin”.

27 października 2016 r. na XX Międzynarodowych Targach Książki w Krakowie miała miejsce premiera książki Joanny Sokołowskiej-Gwizdka „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny” (wyd. Novae Res). Oto kolejny fragment książki – o powstaniu widowiska teatralno-muzycznego „Dobry wieczór Monsieur Chopin”.



Żelazowa Wola

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Na tle obrazów Mazowsza oraz parku i dworku w Żelazowej Woli, z dochodzącą z dala muzyką Chopina, słychać głos.

Kustosz:

Chcę bajkę opowiedzieć

Ze wszystkich najprawdziwszą,

O pewnym chłopcu i przyjacielu jego

Zaczarowanym fortepianie.

(…)

Obraz się zmienia, jesteśmy we wnętrzu dworku w Żelazowej Woli. Ten sam głos podejmuje dialog z duchem Chopina.

Kustosz:

Dobry wieczór, monsieur Chopin.

Jak pan tutaj dostał się?

Głos Chopina:

Ja przelotem z gwiazdki tej.

Być na ziemi to mi lżej:

stary szpinet, stary dwór,

ja mam tutaj coś w C-dur,

(taką drobnostkę, proszę pani),

w starych nutach stary śpiew,

jesień, leci liście z drzew.

Głosy cichną, nowoczesna, energiczna, młoda kobieta zapala lampę.

– Witam państwa bardzo serdecznie w Żelazowej Woli – mówi – i zapraszam na wędrówkę śladami wielkiego kompozytora.

Zaczyna oprowadzać po miejscach Chopina, jego życiu i pozostałych po nim śladach. Tak zaczyna się widowisko teatralne poświęcone życiu i twórczości naszego wielkiego kompozytora.



Wnętrze dworku w Żelazowej Woli.

W 2010 roku, w dwusetną rocznicę urodzin Chopina muzyka wielkiego Fryderyka rozbrzmiewała na całym świecie. Salon również chciał się włączyć w obchody, wprowadzając do swojego repertuaru spektakl przybliżający postać kompozytora. Cały 2009 rok trwały przygotowania, sztuka kanadyjskiej autorki miała być adaptowana przez krakowskiego reżysera. Skupiała się na konfliktach i napięciach pomiędzy Chopinem, George Sand i jej dziećmi w Nohant. Jednak adaptacja poszła tak daleko, że autor nie zaakceptował zmian. Kończył się rok 2009, Maria była

przerażona, bo sztuka powinna być już gotowa, a tu jeszcze potrzeba czasu na uczenie się roli, na dobieranie kostiumów, przygotowywanie dekoracji, opracowanie muzyki. Nie chcąc jednak nikogo dotknąć, musiała zrezygnować z tekstu. Co teraz robić? – pytała sama siebie przerażona.

Byłam wówczas w Toronto. Pamiętam, że siedziałam w mieszkaniu przy ulicy Oakmount w High Parku, zapadłam się w głęboki fotel i pijąc kawę, słuchałam pełnej rozterek Marii. Przypomniały mi się czasy, kiedy byłam rzecznikiem prasowym Festiwalu Chopinowskiego w Nohant i pisałam codzienne relacje do „Rzeczpospolitej". Zagłębiłam się wtedy w losy Chopina, „zaprzyjaźniłam się" z George Sand i jej artystycznym otoczeniem.

Pamiętam dobrze mój pierwszy przyjazd do Nohant. Było wtedy ciepłe lato. Całe Berry zakwitło łąkami na pagórkowatym terenie.

Posiadłość George Sand położona była w małej średniowiecznej osadzie. Wiejski dwór w stylu Ludwika XV, otoczony dzikim parkiem, był zaniedbany. Mimo że udostępniony dla zwiedzających i wpisany do rejestru zabytków państwowych, a tym samym otoczony opieką państwa, nie miał charakteru muzeum. Przypominał dom w nieładzie, który po jakiejś burzy w pośpiechu opuścili mieszkańcy, zabierając tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Dom mimo wszystko zatrzymał ciepłą

atmosferę azylu i wspomnienie szczęśliwych chwil oraz ślady po licznych spotkaniach i częstych wizytach nieprzeciętnych gości.



Fryderyk Chopin, L.A. Bisson, 1849 r.

Koncerty w ramach Międzynarodowego Festiwalu Chopinowskiego pod artystyczną dyrekcją profesora Adama Wibrowskiego odbywały się nie tylko w Nohant, lecz także w pobliskim La Châtre. Spotkałam wtedy mnóstwo ciekawych ludzi, laureatów konkursów chopinowskich, profesorów akademii muzycznych z całego świata. Poznałam też francuską pisarkę Sylvie Delaigue-Moins, od lat zgłębiającą losy Chopina i George

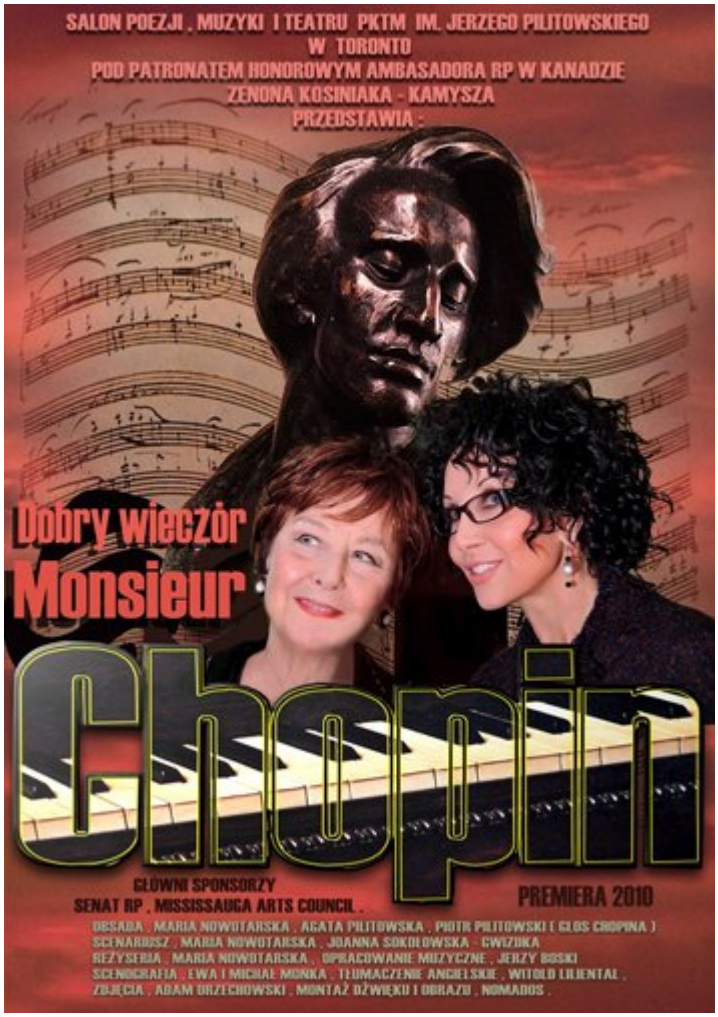
Sand oraz jej męża, malarza Claude'a Moinsa. Gościłam w ich dużym, przeszklonym, wielopoziomowym domu na wyspie, z widokiem na wodę i las. Sylvie właśnie wydała książkę – „Chopin u Geroge Sand. Kronika siedmiu lat". Claude natomiast zrekonstruował słynny obraz Eugène'a Delacroix, przedstawiający romantyczną parę. Chopin siedzi przy fortepianie, a nad nim pochyla się George Sand z kwiatem we włosach. Rekonstrukcja była dla malarza iście detektywistyczną przygodą. Nie wiadomo było, jak dokładnie wyglądał oryginał, gdyż po śmierci Delacroix, przecięto go na pół i odrzucono górne tło. Sprzedając osobno Chopina i George Sand, można było uzyskać wyższą cenę. Obydwie części obrazu przeszły różne koleje losu, ostatecznie Chopin trafił do zbiorów muzeum w Luwrze, a George Sand do Ordrupgaard Museum w Kopenhadze. Malarz Claude Moins odtworzył oryginał, badając drogę, jaką przeszły obydwie części obrazu. Jego największym odkryciem było ustalenie proporcji i układu dzieła, jako pionowego. Do tej pory historycy sztuki uważali, że obraz był poziomy, i takie reprodukcje pojawiały się w albumach.

Gdy opowiadałam o moich przygodach z Chopinem i George Sand, Marii nagle pojaśniała twarz.

– Przecież razem możemy napisać scenariusz przedstawienia! – zawołała z radością.

Wzięłyśmy się więc ostro do pracy. Ja zbierałam materiały biograficzne i wiersze o Chopinie, Maria analizowała teksty, czytała książki i szukała koncepcji wyrazu teatralnego. Spektakl miał być przedstawieniem „eksportowym”, ograniczało to obsadę aktorską do dwóch ról żeńskich, osoby starszej i młodszej. Z konieczności musiało to być widowisko o Chopinie bez postaci Fryderyka. Najlepiej, aby było współczesne, wtedy można mieć większą swobodę w konstruowaniu scenografii i kostiumów.

Inspiracją do stworzenia postaci stała się moja przygoda z Nohant. Młoda dziennikarka z Polski, zafascynowana Chopinem jedzie do Francji i tam spotyka starszą od siebie, doświadczoną francuską pisarkę zajmującą się losami romantycznej pary. Z rozmowy dwóch kobiet wyłania się postać Chopina z punktu widzenia zarówno Polki, jak i Francuzki. To miała być oś spektaklu. Do tego poezja chopinowska, dużo muzyki zaaranżowanej przez Jerzego Boskiego i obraz, jakże ważny w przedstawieniu – przenikające się slajdy, na których widać Żelazową Wolę, portrety rodziców małego Frycka, obrazy Mazowsza, nuty, rękopisy listów, a potem Nohant, słynny obraz Delacroix itd. W miarę pracy nad tekstem postać dziennikarki została zamieniona na fikcyjną panią kustosz muzeum w Żelazowej Woli. Dawało to możliwość stworzenia sceny „oprowadzania gości” i opowiedzenia historii dzieciństwa oraz młodości późniejszego kompozytora.



Maria w kreowaniu obrazu i budowaniu napięcia teatralnego jest nieoceniona. Układ scen i rozpisanie na role przychodzi z czasem, w wyniku długiego poszukiwania właściwej drogi.

W spektaklu Maria wciela się w rolę autentycznej postaci Sylvie Delaique-Moins. Wymienione są tytuły jej książek i pokazane okładki na slajdach. Kiedyś w ferworze przygotowań do prapremiery Maria zadzwoniła do mnie i zapytała:

– Powiedz mi szybko, jak ja się nazywam?

Zaniemówiłam. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że chodzi o francuską pisarkę.

W tekście obok Nohant pojawia się pobliskie La Châtre, jest też scena opisująca poszukiwania Claude'a Moinsa i historia związana z rekonstrukcją obrazu Delacroix, zaczerpnięte z mojej chopinowskiej przygody.

W przedstawieniu równie ważną rolę odgrywają słowo, muzyka, jak i obraz. Powstało widowisko działające na emocje widza i przekazujące bardzo duży zasób informacji biograficznych na tle epoki. Wrażenie wywołuje dynamiczny wiersz Or-Ota (Artura Oppmana), pokazujący nastroje podczas powstania listopadowego, który mówią na zmianę obydwie kobiety – przewodniczki po życiu Chopina. Jest też lirycznie i romantycznie, są emocjonalne burze, które przytaczają na scenie Polka i Francuzka czytając dziewiętnastowieczne listy oraz ponadczasowa chopinowska muzyka. I mimo że na scenie są dwie współczesne kobiety, a Chopin pojawia się tylko jako głos z oddali, przybliżone zostają zarówno losy kompozytora, jak i jego osobowość.

Pisarka:

Chopin wszedł. W lamp półcieniu dziwny jak zjawisko,

Nad rebusem klawiszów pochylił się nisko…

W niemą salę padł pierwszy dźwięk. Improwizuje.

On oczy ma zamknięte. Lecz nie gra. Maluje.

Przypomniał jakiś obraz: wieś w gruszkowych sadach,

Bose dzieci na progach, malwy na lewadach,

Roześmianą dziewczynę w kalinowym wianku,

Rozedrgany graniem dzwonek w różowym poranku;

Barwy mu dnia i zmierzchu wiążą się pod ręką –

I widok, jakby wstążką, owinął piosenką.

Dziwna piosenka, wszystkim słuchaczom przyjemna,

(…)

A on odjął na chwilę palce od klawiszy:

Skupia się. Na coś czeka. Czegoś słucha w ciszy,

I nagle: podniósł ręce, jakby cios wymierzył,

I w zmartwiałe klawisze, jak burzą, uderzył,

I wydarł z nich melodię tak straszliwej mocy,

Jak baterie piorunów bijących wśród nocy,

I taka stal pod ręką zadźwiękła mu twarda,

Aż się wzdrygnął i żachnął fortepian Erarda.

Spektakl kończy się powrotem do Żelazowej Woli, powraca głos Chopina, odbijający się echem od ścian dworku, powtarza się melodia wiersza Gałczyńskiego.

Pisarka:

Dobry wieczór, monsieur Chopin,

Jak pan tutaj dostał się?

Głos Chopina:

Ja przelotem z gwiazdki tej.

Być na ziemi to mi lżej:

stary szpinet, stary dwór,

ja mam tutaj coś w C-dur,

(taką drobnostkę, proszę pani),

w starych nutach stary śpiew,

jesień, leci liście z drzew.

Pisarka:

Pan odchodzi? Hm. To żal.

Matko Boska, w taką dal!

Rękawiczki. Merci bien.

Pisarka i Kustosz:

Bon soir, monsieur Chopin.

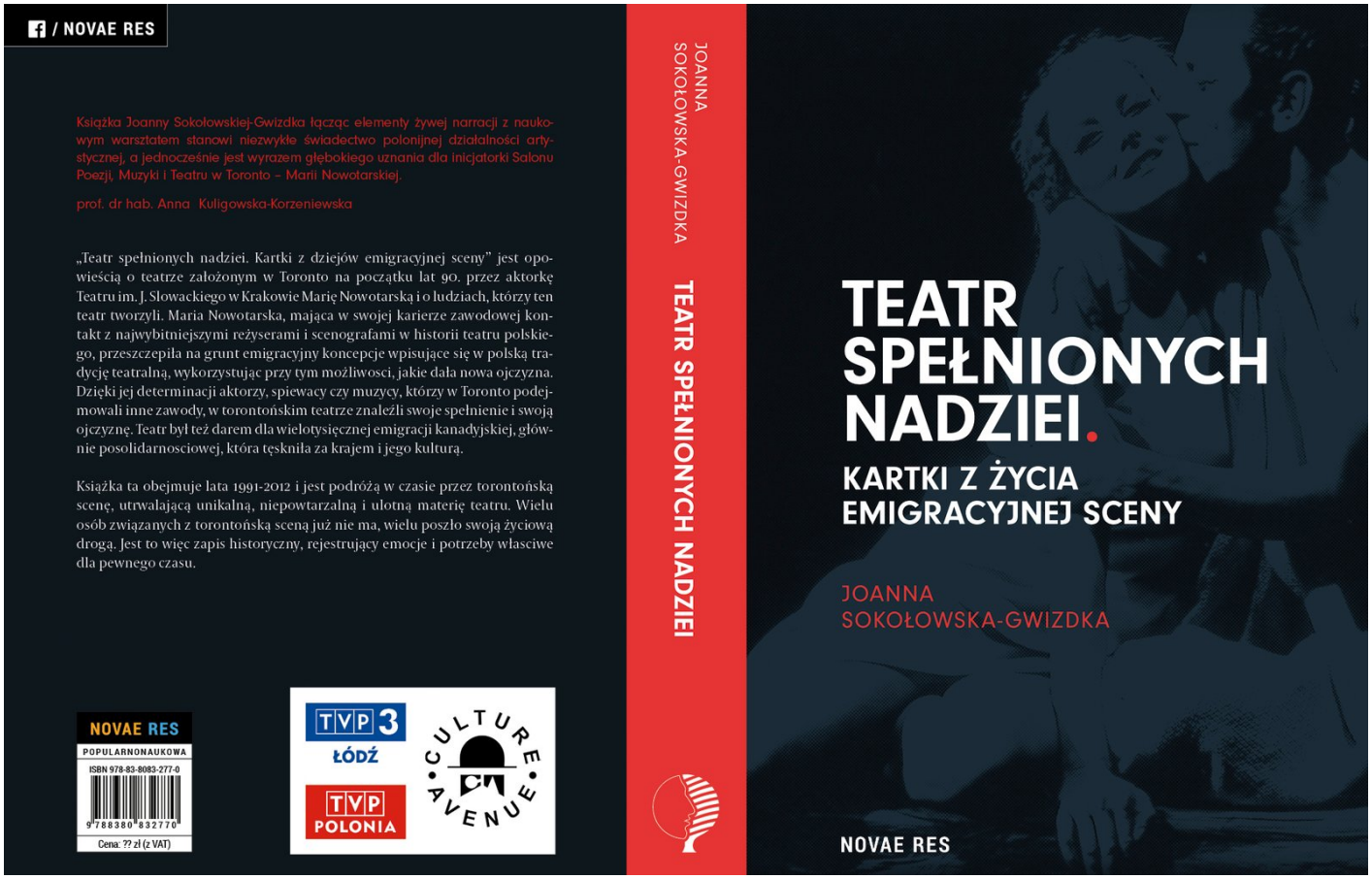
Na finał brzmi *Polonez As-dur* op. 53.



Dobry wieczór, Monsieur Chopin, scenariusz: Maria Nowotarska, Joanna Sokołowska-Gwizdka, reżyseria: Maria Nowotarska, wykonawcy: Maria Nowotarska i Agata Pilitowska oraz Piotr Pilitowski (głos Chopina), opracowanie muzyczne Jerzy Boski, scenografia Jerzy i Michał Monka, zdjęcia Adam Orzechowski, montaż dźwięku i obrazu Leonard Gaweł „Nomados", tłumaczenie portugalskie prof. Mariano Kawka z Uniwersytetu w Kurytybie, tłumaczenie angielskie Witold Liliental, tłumaczenie francuskie Alina Nitka (Paryż), prapremiera sierpień 2010, São Paulo, Brazylia, premiera torontońska 17.02.2010, Living Arts Centre, Mississauga.

Kolejny fragment książki ukaże się w poniedziałek 28 listopada.

Książka jest publikacją multimedialną. Pod spisem fotografii został wydrukowany link i QR code, który przekierowuje czytelnika na stronę internetową, gdzie znajduje się galeria kolorowych fotografii w wysokiej rozdzielczości.



Publikacja jest dostępna w sprzedaży w księgarniach stacjonarnych w Polsce i w księgarniach internetowych.

Księgarnia internetowa Gandalf wysyła książki za granicę i przyjmuje karty kredytowe.

http://www.gandalf.com.pl/a/sokolowska-gwizdka-joanna/

Inne księgarnie:

http://zaczytani.pl/ksiazka/teatr_spelnionych_nadziei_kartki_z_zycia,druk

http://lubimyczytac.pl/ksiazka/3952985/teatr-spelnionych-nadziei-kartki-z-zycia-emigracyjnej-sceny

https://aksiazka.pl/produkt-302969,teatr-spelnionych-nadziei

Baśniowy Gałczyński

27 października 2016 r. na XX Międzynarodowych Targach Książki w Krakowie miała miejsce premiera książki Joanny Sokołowskiej-Gwizdka „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny” (wyd. Novae Res). Oto fragment książki.



„Konstanty Ildefons Gałczyński. Poeta magiczny”. Od lewej: Maria Nowotarska, Stan Borys, Karolina Ingleton, Krzysztof Jasiński, Agata Pilitowska, arch. PUNKT.CA, fot.: Yarek Dąbrowski.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

26.10.98.

Mario Droga,

A więc klamka zapadła: mam wizę i bilet od Ciebie i będę 6

grudnia. Wylatuję z Warszawy o 12.30. Gdzieś przed 20.00 polskiego czasu będę w Twoim mieście. Nie wiem, jak sobie wyobrażasz cały ten poetycki spektakl. Żeby Ci trochę pomóc, przesyłam Ci swoją pierwszą książkę o ojcu – jest krótsza, nie zabierze Ci nazbyt wiele czasu, natomiast jest w niej pełno faktów i zdarzeń. Może przyda Ci się. Zdobyłam ją dzięki zaprzyjaźnionemu księgarzowi, który gdzieś jej resztki wykopał. (…) Byłam wczoraj i przedwczoraj w Krakowie – słońce, ciepło, pięknie, myślałam o Tobie. (…)

Uściski – Kira

(…)

***

Spektakl *Konstanty Ildefons Gałczyński. Poeta magiczny* oczarował widownię. W baśniowej scenerii, na pograniczu snu i jawy, plączą się zwiewne postacie, tańczą, wirują wraz ze światłem i półcieniami, snują opowieści, potęgując strofy mówione szeptem niczym modlitwa, wyłaniają się z tła, by wołać gromko i wyraźnie, niosą śpiew przez szum mazurskich trzcin, przez krakowską ulicę z tętentem koni, przez blask warszawskich latarni, zgubione marzenia i „księżyc, który się nie goli”. Przeplatają się różne nuty, grają światła i cisza, okno patrzy na świat zdziwionymi oczami, okrągły stolik zasnuty

ciężką, ciepłą serwetą migocze w blasku świec. A na połyskliwej, rozwieszonej nieregularnie tkaninie różnymi kolorami świateł malowane są kolejne obrazy czasu, poezji i wyobraźni.

Kira Gałczyńska i Maria Nowotarska chodziły razem do szkoły podstawowej przy ulicy Pędzichów w Krakowie. Szkoła o nazwie „Instytut Marii" prowadzona była przez zakonnice. Mieściła się w starym przedwojennym budynku, zajmowanym podczas wojny przez Niemców.

Maria Nowotarska:

Pamiętam, jak przyszła do naszej klasy ładna, czarna dziewczynka z dużym poczuciem humoru, trochę taki łobuziak. Bardzo się polubiłyśmy. Czasem odprowadzałam ją na Basztową, gdzie wtedy mieszkała. Nie pamiętam jej ojca, ale bardzo dobrze zapamiętałam ją.

Kira Gałczyńska:

Marię poznałam w pierwszych powojennych latach. Z tamtego Krakowa właściwie niewiele już pamiętam, ale pamiętam Marysię, z którą najpierw spotykałam się w szkole, a potem oglądałam ją w Teatrze Starym, kiedy już jako dziecko partnerowała znanym aktorom. Mówiłam wtedy mojemu ojcu, że ja też koniecznie chcę wystąpić w teatrze. Ale ojciec mi wtedy

odpowiadał: do tego trzeba jeszcze coś mieć, coś, co się nazywa iskrą bożą. Tak więc Marię zapamiętałam jako śliczną dziewczyneczkę, która była małą aktorką jeszcze w szkole podstawowej. Potem ją zobaczyłam jako równie śliczną, ale trochę starszą dziewczynę po studiach. W ciągu następnych lat wiedziałam o niej, oglądałam ją w filmach, w telewizji, ale nie miałyśmy z sobą kontaktu.

Maria Nowotarska:

Po latach, będąc już w Kanadzie, wypożyczałam książkę autorstwa Kiry Gałczyńskiej, w której ze zdziwieniem przeczytałam: „zazdrościłam mojej koleżance z klasy Marysi Nowotarskiej, że grała w teatrze". Niewiele myśląc, zdobyłam jej telefon i zadzwoniłam. Bardzo się ucieszyła.

Kira Gałczyńska:

Kiedy spotkałyśmy się w Polsce, to tak jakoś wróciłyśmy do siebie, jakby tych lat nie było. Okazuje się, że jeśli jest bliskość między ludźmi, to niekoniecznie musi być potwierdzana przez ciągłe spotkania. Ona nagle daje o sobie znać po latach, jako coś trwałego, bo jest gdzieś w nas zakodowana.

Maria Nowotarska:

Bardzo dobrze nam się rozmawiało. Spotykałyśmy się, ilekroć byłam w Warszawie. Kira zawsze przychodziła na moje przedstawienia. A potem, gdy przygotowywałam spektakl o Gałczyńskim, zaprosiłam ją do udziału.

– Chciałabym, żebyś w tym wieczorze miała dwa wejścia prywatnej opowieści o ojcu, tak zupełnie od serca – powiedziałam.

Kira Gałczyńska:

Gdy Maria wymyśliła, że chciałaby w swoim Salonie zrobić Gałczyńskiego ze mną, przestraszyłam się. Przecież nigdy w taki sposób nie brałam udziału w spektaklu, nie potrafię tego zrobić. Ale ona mnie namówiła, tak jak to Maria potrafi.

– Przyjedź, zobaczymy, co z tego wyniknie – powiedziała.

Zorganizowała cały mój przyjazd i właściwie dopiero na miejscu zorientowałam się, jak dużą i niezwykłą pracę Maria tam wykonuje.

Maria Nowotarska:

Kira Gałczyńska bardzo była ciekawa przedstawienia, ale ja jej powiedziałam:

– Zaproszę cię na scenę dopiero podczas spektaklu. Chciałam, żeby Kira usiadła na widowni, w pierwszym rzędzie, żyła tym spektaklem tak jak inni i chciała się dowiedzieć, co będzie dalej. Nie chciałam, żeby jej występ był wyreżyserowany. Jej opowieść miała być jak najbardziej naturalna, od serca, jak rozmowa.

Kira Gałczyńska:

Spektakl ten powstawał spontanicznie, tak właściwie z niczego. Najpierw była korespondencja Marii, ona wybierała wiersze, potem piosenki, korespondowała ze swoimi znajomymi kompozytorami, przede wszystkim w Krakowie, a potem, kiedy ja przyjechałam, to właściwie wszystko już było gotowe. Została wyczarowana piękna scenografia i niezwykła muzyka. Dla mnie spektakl był niespodzianką.



Kira Gałczyńska (z lewej) i Maria Nowotarska po spektaklu.

***

(…)

Dziś i wczoraj przeplata się nawzajem. Są więc i wspomnienia z dzieciństwa, do których prowadzą warszawskie latarnie (*Pożegnanie z latarniami*). Gdy ze sceny padają słowa „żegnajcie kochane latarnie”, pojawia się po raz pierwszy Kira Gałczyńska i opowiada, że te latarnie prowadziły do domu na Towarowej w

Warszawie, domu smutnego, gdzie dwoje dorosłych ludzi nie umiało stworzyć ciepła dwóm małym chłopcom – Kostkowi i Mietkowi. Starszy, Kostek, próbował zastąpić i matkę, i ojca swojemu młodszemu bratu. Potem jest opowieść o szpilkach do włosów matki Konstantego, które, jak napisał poeta, znalazł w trzcinach, a tak naprawdę przejechały w jego książeczce do nabożeństwa cały świat. Jest to poetycka opowieść o miłości do matki i o dojrzewaniu do umiejętności wyrażenia tej miłości.

Bajkowość spektaklu nie byłaby do końca „gałczyńska" gdyby nie pojawił się tam Kraków, kataryniarz, zaczarowana dorożka i spacer po krakowskich uliczkach, gdyby nie było zapachu świąt Bożego Narodzenia (*Przed zapaleniem choinki* – Maria Nowotarska) i tych wszystkich cudów i dziwów zaczarowanego Krakowa. „Zaczarowana dorożka, zaczarowany dorożkarz i zaczarowany koń" – po raz drugi wprowadzają na scenę Kirę Gałczyńską, która pięknie mówi o ojcu i krakowskim domu przy Krupniczej, domu „Pod czterdziestoma wieszczami". Wspomina pusty pokój, który dość szybko wypełniał się nietuzinkowymi przedmiotami ze spalonego domu w Aninie (na przykład prawosławna ikona z domu rodzinnego Natalii Gałczyńskiej, którą przywiózł Jerzy Zaruba, sąsiad i przyjaciel). Ściany pokoju obrastały we wpisy, rysunki, obrazki malowane przez przyjaciół, znanych artystów. Zresztą każdy mógł zostawić swój wpis na ścianie, pod warunkiem, że miał coś ważnego do powiedzenia.

Kira Gałczyńska:

Gałczyński okazał się pod każdym względem czarownym spektaklem, ze swoją atmosferą i niepowtarzalnym urokiem.

Maria dobrze wie, że inaczej mówi się poezję Słowackiego, a inaczej trzeba mówić Gałczyńskiego. Świetnie potrafi połączyć lirykę z groteską, tak że w efekcie spektakl miał zarówno nastrój, taki bardzo „gałczyński", jak i był autentycznie zabawny. Maria poza tym umie wyegzekwować od aktorów to, co sobie wymyśliła. Tak więc i zespół mieścił się znakomicie zarówno w zabawie, jak i w warstwie lirycznej.

Przedstawienie miało dużo bardzo wzruszających momentów. „Księżycowa noc" i ta idealna cisza na widowni. Gdyby tam latały muchy, byłoby je słychać. Zarówno liryką, jak i absurdalnym Gałczyńskim Maria doskonale trafiła w oczekiwania publiczności, w jej percepcję, w jej zaangażowanie. Widzowie siedzieli zasłuchani, panowała kompletna cisza. A po spektaklu ciągnęły się rozmowy, którym nie było końca. Ludzie przychodzili, pytali, dlaczego spektakl jest grany tylko ten raz. Mnie też pytano, już konkretnie o Gałczyńskiego, o sytuacje, w jakich powstały rozmaite wiersze. To była bardzo sympatyczna rozmowa, jakbyśmy się od dawna znali. Jestem przekonana, że chociaż wróciłam do Warszawy, to gdzieś tam ten Gałczyński został wśród ludzi.

(…)

Notatka Jerzego Pilitowskiego pod datą 2 stycznia 1999:

> (…) Dwunasty (grudnia) premiera w Bishop Marrocco. Poszło pięknie. Ujawniły się walory inscenizacji, scenografii, dobrego wykonania aktorskiego (także Tomeczka), niestety widzów niewielu, może 200–250. Występ Kiry bardzo udany, a i ona nadzwyczaj szczęśliwa. Nazajutrz powtórka w Centrum Jana Pawła II – tym razem widzów znacznie więcej, chyba ponad 500. Sukces niewątpliwy, choć przeżywamy duży stres – obawę przed klęską finansową. Robota ogromna – oboje z Marysią gonimy resztkami sił. Po dokładnym obliczeniu okazuje się jednak, że nie jest tak źle i w zasadzie pokryjemy wszystkie zaplanowane wydatki, hurrra! Dobre recenzje Bonikowskiego w „Gazecie” i Kasprzyka w „Związkowcu”. 14-go Marysia jedzie z Kirą pociągiem do Montrealu, do Basi Horny. Szesnastego odprawiamy Kirę na lotnisko. Cała szczęśliwa – nikt nigdy nie zrobił takiego Gałczyńskiego.

Kolejny fragment książki ukaże się w poniedziałek 21 listopada.

Książka jest publikacją multimedialną. Pod spisem fotografii został wydrukowany link i QR code,

który przekierowuje czytelnika na stronę internetową, gdzie znajduje się galeria kolorowych fotografii w wysokiej rozdzielczości.



Publikacja jest dostępna w sprzedaży w księgarniach stacjonarnych w Polsce i w księgarniach internetowych.

Księgarnia internetowa Gandalf wysyła książki za granicę i przyjmuje karty kredytowe.

http://www.gandalf.com.pl/a/sokolowska-gwizdka-joanna/

Inne księgarnie:

http://zaczytani.pl/ksiazka/teatr_spelnionych_nadziei_kartki_z_zycia,druk

http://lubimyczytac.pl/ksiazka/3952985/teatr-spelnionych-nadziei-kartki-z-zycia-emigracyjnej-sceny

https://aksiazka.pl/produkt-302969,teatr-spelnionych-nadziei

„Teatr spełnionych nadziei” – opowieść

o polskim teatrze w Toronto.



Panorama Toronto od strony jeziora Ontario, fot.: Jacek Gwizdka.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

27 października 2016 r. na XX Międzynarodowych Targach Książki w Krakowie miała miejsce premiera książki Joanny Sokołowskiej-Gwizdka „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny" (wyd. Novae Res). Jest to opowieść o teatrze w Toronto założonym przez aktorkę Teatru im. J. Słowackiego z Krakowa, Marię Nowotarską. Oto fragment wstępu – jak powstawała książka.

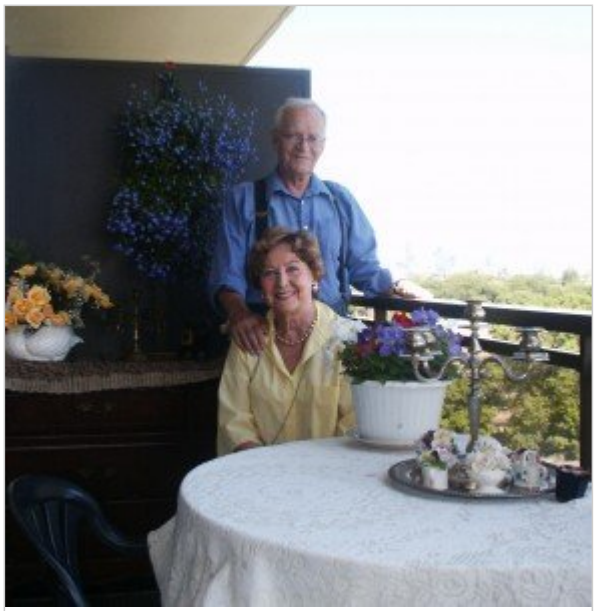
Gdy wylądowałam w Toronto na lotnisku Pearson po wielogodzinnej podróży, w moje imieniny, 24 maja 2001 roku, z niepewnością myślałam, co mnie tu czeka. Zaczynał się nowy rozdział w moim życiu. Jaki, to się dopiero miało okazać. Na razie były tylko labirynty korytarzy, ruchome schody, windy i wielkie szyby, w których widziałam swoje odbicie. (…) Lądując na lotnisku Pearson, wiedziałam, że mój świat, jedyny w swoim rodzaju, który sobie urządzałam wiele lat, zostawiam za sobą bezpowrotnie. Nie, nie żałowałam, ale liczyłam się z tym, że w Kanadzie, w mało uniwersalnym zawodzie nie znajdę pracy. Dokonałam jednak wyboru między moim polskim życiem, z kochającą rodziną, na którą zawsze mogłam liczyć, przyjaciółmi, znajomymi miejscami, a emigracyjnym, nieznanym, zaoceanicznym światem Jacka. Zdawałam sobie sprawę, że kończy się jakiś etap, a ja zamykam za sobą drzwi na zawsze.

Spotkanie z teatrem

Pamiętam ten wieczór bardzo dobrze. Małgorzata Bonikowska, redaktor do spraw kultury w torontońskiej „Gazecie”, wysłała mnie na spektakl Marii Nowotarskiej o Marianie Hemarze, z prośbą, żebym napisała recenzję. Szłam z mieszanymi uczuciami, wydawało mi się, że na emigracji nie ma warunków, aby mógł powstać zawodowy teatr, i że zapewne wysłucham paru piosenek, wierszy i na tym się skończy. Do tego Paweł Deląg zaproszony na spektakl, jako gwiazda wieczoru, w ostatniej chwili odwołał przyjazd do Toronto. Przedstawienie jednak bardzo mnie zaskoczyło. To był w pełni udramatyzowany spektakl teatralny, z akcją, kostiumami, dekoracją, w przeznaczonej do tego sali teatralnej Burnhamthorpe Library Theatre w Mississaudze. Występujący artyści byli profesjonalistami, do tego dobrze przygotowanymi i wyreżyserowanymi. Dowiedziałam się też dużo o Hemarze, o różnych etapach jego życia, marzeniach i rozczarowaniach. Mimo że znałam jego teksty, podczas tego spektaklu po raz pierwszy zobaczyłam Hemara jako żywego człowieka, a nie odeszłą w przeszłość legendę. Postać została uplastyczniona poprzez odpowiednio zbudowany scenariusz i czar sceny, któremu poddali się wszyscy uczestnicy. Zauważyłam wśród publiczności śmiech, radość i łzy wzruszenia. Zapewne razem z Hemarem zostały wyciągnięte z zakamarków emigracyjnej duszy własne wspomnienia o białych bzach pachnących w maju, kiedy szło się za rękę z ukochanym, czy inne momenty sentymentów młodości. Poczułam wtedy, że twórcy tego teatru

podchodzą do pracy z wielkim szacunkiem dla widza i swoją bezinteresowną, ciężką pracę dają nam, dorosłym Polakom na emigracji i młodemu pokoleniu, które urodziło się w Kanadzie. Budują pomost dla naszej tożsamości, pomiędzy ojczyzną a krajem, który adoptowaliśmy. Po spektaklu za kulisami pojawił się profesor Florian Śmieja, iberysta i poeta mieszkający kiedyś w Londynie, który chodził na „hemarowe" spektakle. Ten wieczór przywołał też i jego wspomnienia. Byłam pod wrażeniem połączenia historii, legendy i rzeczywistości. Otwierał się przede mną sezam ze skarbami kultury, pasją tworzenia i misją do spełnienia. Zapragnęłam o tym wszystkim pisać. To był nowy obszar, w który wchodziłam. Uwierzyłam, że i tu, w Kanadzie, mogę znaleźć swoją wyspę i nie muszę żegnać się z zawodem.

Propozycja



Maria Nowotarska i Jerzy

Pilitowski na balkonie swojego apartamentu, fot.: Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Dom Marii Nowotarskiej i Jerzego Pilitowskiego okazał się bardzo przyjazny. Wielki, miękki fotel, w którym można było się zapaść bez reszty i zapomnieć o całym nieartystycznym świecie, zapach pysznego placka ze śliwkami – specjalność Jerzego Pilitowskiego – żarty, śmiechy, rozmowy przez telefon, drobne chwile, których się nie zapomina, pozornie ulotne zdania, będące życiową nauką. W tej rodzinnej atmosferze powstawały pomysły sceniczne, starałam się je uchwycić w momencie tworzenia i obserwować ich rozwój. Lubiłam wielogodzinne rozmowy i ten specyficzny nowotarsko-pilitowski klimat. A potem, jadąc metrem ze stacji High Park do stacji Lawrence, z przesiadką na Yonge i Bloor, obmyślałam zapowiedzi teatralne do „Gazety". Żyłam każdym kolejnym spektaklem, uczestniczyłam w jego powstawaniu. I tak minęły trzy lata, od kiedy znalazłam się w Toronto. W okresie świąt Bożego Narodzenia 2004 roku zostaliśmy z Jackiem zaproszeni przez Marię i Jerzego na kolację. Biesiadowaliśmy przy dużym stole nakrytym ciężką, bordowo-złotą, ozdobną tkaniną z frędzlami, Jerzy Pilitowski otworzył *icewine*. W tej „christmasowej" i domowej atmosferze z radością

przyjęłam propozycję napisania książki o Salonie Poezji, Muzyki i Teatru – tym kulturalnym emigracyjnym fenomenie.

Jak powstawała książka

Głowę miałam pełną pomysłów. Książka o scenie, spektaklach, twórcach, ciężkiej pracy w trudnych warunkach i wielkiej pasji… Materiał ogromny, wiele osób przewinęło się przez scenę. Zaczęłam się umawiać na rozmowy. Najczęściej w apartamencie Marii i Jerzego z balkonem pełnym kwiatów i ziół, a po ich przeprowadzce na jedenaste piętro dodatkowo z widokiem na jezioro Ontario i torontońskie Downtown. Siadałam na kanapie pod portretem Marii w wielkim kapeluszu autorstwa Ilony Biernot i popijając kawę z porcelanowej filiżanki, pytałam, słuchałam, nagrywałam. Gdy było ciepło, Maria Nowotarska wyciągała mnie na spacery do High Parku nad jeziorem Ontario. Tam na ławeczce w cieniu drzew, przy fontannie, zawsze elegancka artystka w powiewnej letniej sukience opowiadała mi o sobie i swoich pomysłach. Mówiła pięknie, literackim językiem i z dużym zapałem. Malowała wizje sceny stworzonej z teatralnej wyobraźni przywiezionej z krakowskiego teatru, z tradycji literackiej i dawnej dobrej aktorskiej szkoły. Podczas rozmów otwierała się przeszłość w masce scenicznych wspomnień. Nagrywałam też Jerzego Pilitowskiego, oglądałam fotografie, a raz nawet udało mi się namówić go na zaśpiewanie słowackiej piosenki góralskiej, po słowacku, oczywiście. Mówił, że nosi się

z zamiarem spisania piosenek z czasów górskich wędrówek, póki je pamięta.

Obserwowałam, jak powstaje teatr od kuchni. Próby do Powstania Warszawskiego odbywały się w siedzibie Stowarzyszenia Polskich Kombatantów przy Dundas Street. Partie za brakujące osoby czytała Maria Nowotarska. Podobno to normalne, nigdy nie ma kompletu artystów, pojawiają się dopiero na premierze. Trudno jest pracować, markując luki w obsadzie. Zapamiętałam ogólne zdyscyplinowanie i panujący na próbie rygor, któremu wszyscy bez wahania się poddawali. Byłam też na próbie w domu skrzypaczki Joanny Zeman, w Niagara-on-the-Lake, wiktoriańskim miasteczku z kolorowymi kamienicami, kawiarniami, galeriami, ogrodami, z letnim stukotem końskich kopyt, jeżdżącymi po ulicach białymi powozami i słynnym festiwalem Bernarda Shaw. Dom był duży, stylowo urządzony, w zacisznej alei z widokiem na strumień. Mieścił się w nim Bed and Breakfast Chateau Gate. Joanna Zeman z dumą pokazywała smyczek należący do Henryka Wieniawskiego, a w jednym z pokoi na dole – podpisy znanych osób na ścianie. Na próbę przyjechał Kazimierz Braun z Buffalo. Ja przyjechałam samochodem z Marią i Agatą z Toronto. Po drodze zatrzymałyśmy się w niemieckiej piekarni piekącej pachnący chleb z chrupiącą skórką, który budził wspomnienia z dzieciństwa. Podobno to rytuał – Maria z Agatą zawsze tu wchodzą, jeśli jadą w kierunku Buffalo. Po wypiciu kawy

ruszyłyśmy dalej. W samochodzie cały czas rozmawiałyśmy o sztuce „Promieniowanie”, o Marii Skłodowskiej-Curie.



„Promieniowanie. Rzecz o Marii Skłodowskiej-Curie” – próba w domu Joanny Zeman w Niagara-on-the-Lake. Od lewej: Agata Pilitowska, Kazimierz Braun, Maria Nowotarska, fot.: Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Próba z reżyserem to intensywna praca. Agata nie lubi prób i się z tym nie kryje. Potrzebuje widowni, wtedy potrafi dać z siebie

wszystko. Próba dla niej to imitacja, spektakl przecież nie dzieje się naprawdę. Ale na próbie sztuki o Marii Skłodowskiej-Curie zdawała się utożsamiać z córką słynnej matki. Słychać było w jej głosie autentyczną walkę o własne ja. Podczas spektaklu Agata złagodniała, była bardziej oszczędna w emocjach, a przez to bardziej wyrazista. Maria uważa próby za bardzo ważny element w procesie przygotowań. Jest uporządkowana, dla niej wielokrotne powtarzanie i praca nad tekstem są kuźnią dobrego rzemiosła teatralnego. Bo teatr to też technika, a nie tylko emocje.

Byłam nie tylko blisko sceny, ale przede wszystkim blisko jej twórców. Umawiałam się też z innymi artystami, prowadziłam długie rozmowy, pytałam o różne szczegóły. Spostrzegłam, jak bardzo ten emigracyjny teatr jest potrzebny. Przyjechało tu przecież wielu wspaniałych śpiewaków, aktorów, artystów plastyków. Zostali bez swoich teatrów, bez swojego miejsca. Często wykonują inne zawody, żeby żyć, musieli się przekwalifikować. Dzięki Salonowi realizują się, nie odchodzą od tego, co ich tworzy i wypełnia – od sztuki. A Maria Nowotarska potrafi zarazić energią i pokazać, że musi się udać, nie ma innej możliwości.

Wiosną 2005 roku podjęliśmy z Jackiem decyzję wyjazdu z Toronto. Jacek dostał propozycję pracy na Rutgers University w stanie New Jersey w USA. Otwierały się przed nim nowe

możliwości zawodowe, miał pracować ze znanymi osobami w jego dziedzinie – Human Computer Interaction. W wakacje zapakowaliśmy cały swój dobytek do samochodu ciężarowego i ruszyliśmy przez Buffalo i stan Nowy Jork, a potem góry Pensylwanii do New Jersey. Nowe życie, a w praktyce nowa emigracja, pochłonęło bardzo dużo naszej energii. Zamieszkaliśmy na pięknym osiedlu z basenem, na skraju lasu, z podchodzącymi pod okna sarnami, zającami, które godzinami mogłam obserwować, szarymi wiewiórkami i mnóstwem ptaków. Z jednej strony kontakt z naturą wzbudzał mój zachwyt, ale z drugiej, po tempie dużych miast, w których zawsze mieszkaliśmy, trudno mi było się przestawić na inne życie. Wprawdzie centrum Manhattanu oddalone było od nas tylko o jakąś godzinę drogi, ale dojazd do stacji kolejki bez możliwości zrobienia prawa jazdy okazał się przeszkodą nie do pokonania. Wypadłam przy tym z rytmu pisania książki. Brakowało mi ludzi, inspiracji, czułam się odizolowana. Pomagała mi świadomość bliskości życzliwej mi pisarki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm (Oleńki od Wańkowicza), mieszkającej razem z mężem Normanem w Wilmington w stanie Delaware. Zawsze mogłam się do niej zwrócić z prośbą o radę czy przyjrzeć się warsztatowi pisarskiemu.

W stałą pomoc włączyła się moja nieoceniona mama. Spisywała wywiady, co jest zwykle bardzo czasochłonne. Była moim barometrem emocji. Gdy czytałam jej jakiś fragment, a ten ją

wzruszał czy zaciekawiał, zostawiałam. Gdy natomiast słuchała z grzeczności, mówiąc potem „no ładnie” czy „interesujące”, wiedziałam, że muszę jeszcze popracować, wzbogacić o pewne szczegóły czy rozpisać na głosy. Mama wstawała o szóstej rano, wtedy było cicho i mogła się skupić. Mój srebrnobiały, skośnooki kot Maciek, którego zostawiłam rodzicom, tak się przyzwyczaił do mojego głosu dochodzącego z głośnika, że gdy minęła szósta, a moja mama nie wstawała, przychodził pod sypialnię rodziców i ją budził. A potem układał się na biurku, wsłuchując się w opowieści oraz stukot klawiszy.

Cały czas wspierał mnie Jacek. Jest osobą piszącą, więc doskonale rozumie proces tworzenia książki i opanowywania ogromnego obszaru informacji. Często z nim na ten temat dyskutowałam. Stwarzał mi warunki do pisania, rozumiejąc potrzebę powstania takiego projektu i wkładany w niego ogromny wysiłek, a także błądzenie i niepewność, która towarzyszy takiemu procesowi.



Maria Nowotarska na wycieczce w Princeton, fot.: Jacek Gwizdka.

Kilka razy przyjechała do nas do Stanów Maria Nowotarska, „na wczasy”, jak to żartobliwie określała. Za pierwszym razem spadł śnieg. Robiłyśmy długie spacery po przylegającym do naszego osiedla polu golfowym z kilkoma stawami, uginającymi się od białego puchu choinkami, pagórkami i długimi odcinkami wydeptanych ścieżek. Na śniegu widać było ślady saren, a my, podziwiając otoczenie, zagłębiałyśmy się w rozmowę. Maria, piękna i elegancka, w długim, ciemnym, futrzanym, rozkloszowanym płaszczu, wzbudzała zachwyty ubijających

ścieżki pracowników pola golfowego, którzy na jej widok zatrzymywali swoje pojazdy i nisko się kłaniali. To samo było w Princeton, mieście Alberta Einsteina oraz uniwersytetu dla dzieci bogatych i ustosunkowanych rodziców, gdzie jaguar zaparkowany na ulicy nie jest rzadkością. Ludzie wyraźnie zwracali uwagę na naszą Marię Nowotarską, na jej ubiór, chód i gesty. Po wycieczkach i spacerach siadałyśmy przy kawie i cieście, nie przestając rozmawiać i nagrywać. Wieczorem zaś otaczał nas inny klimat. Kolacja w jadalni z widokiem na posadzoną przez nas na zewnątrz choinkę ubraną w bożonarodzeniowe lampki, a potem herbata przy kominku i wsłuchiwanie się w opowieści z życia sceny, aktorów, teatru, na przykład o tym, jak Maria grała w filmie „Nikodem Dyzma" z Adolfem Dymszą, jak się przeziębiła w pociągu na trasie Kraków–Łódź i nie mogła zagrać wszystkich wyznaczonych na planie scen. I wiele, wiele ciekawostek o znanych nam i lubianych ludziach teatru oraz aktorskim życiu. Tyle przy tym było żartów, dowcipu i humoru, tyle w nasz dom wniosła energii i życia, że Jacek, zwany przez Marię Jacentym, zaraz po odwiezieniu jej na lotnisko zapytał, kiedy znów do nas przyjedzie.



Maria Nowotarska i Joanna Sokołowska-Gwizdka na wycieczce do Princeton, fot.: Jacek Gwizdka.

Przyjechała jesienią. Wtedy miałyśmy do dyspozycji inną gamę kolorów. Robiłyśmy sobie wyprawy na osiemnastowieczną holenderską farmę Van Wickle House nad kanałem przy rzece Raritan, około dwudziestu minut drogi od nas. To bardzo malownicze miejsce. Przy farmie jest piękny ogród z altaną obrośniętą pnącymi różami. Z tyłu weranda z ławeczkami, z widokiem na starą studnię i drewniany pomost prowadzący nad kanał, wśród tataraku, suchych traw, brązowych pałek i dzikiego ptactwa. Siedziałyśmy z Marią Nowotarską na ławce i rozkoszowałyśmy się ciepłem jesiennego słońca. Mówiłyśmy wtedy o Halce, Moniuszce, tradycji i artystach. Potem przechadzałyśmy się kolorową aleją wśród drzew i przydrożnych jesiennych kwiatów, prowadzącą przez groblę, pomiędzy rzeką a kanałem wykopanym przez irlandzkich emigrantów w dziewiętnastym wieku, spotykając po drodze rodziny gęsi, kaczek i żółwi wyciągających głowy ze swoich ciemnych pancerzy, pousadzanych rzędem na zwalonych pniach. Maria przyjechała do nas jeszcze kilka razy z Toronto autobusem, żeby w spokoju przygotować materiał o podróżach Salonu i autoryzować całość.



XVIII_to wieczna farma Van Wickle House nad rzeką Raritan, miejsce rozmów z Marią Nowotarską.

Oprócz wizyt Marii Nowotarskiej w naszym domu w New Jersey bardzo ważne były moje podróże. Wiele razy jeździłam do Toronto, spotykałam się tam nie tylko z Marią, ale i z Agatą w Mississaudze w jej pięknym domu o artystycznym charakterze oraz z innymi artystami. Byłam też w Polsce. W Krakowie zatrzymałam się w mieszkaniu Marii Nowotarskiej i Jerzego Pilitowskiego przy ulicy Senatorskiej. Zaprosili mnie do siebie na

wino i ciasto niezwykle życzliwi sąsiedzi, państwo Daniszewscy, opiekujący się mieszkaniem. Dużo się wtedy dowiedziałam o krakowskim barwnym życiu bohaterów pisanej przeze mnie książki. Wzruszyła mnie koleżanka Marii Nowotarskiej ze szkoły, nieżyjąca już pani Jadwiga Skiba. Z jaką miłością mówiła o domu „Marysi i Jurka", o niezapomnianej pani Helenie, mamie Marysi, i o wiecznym artystycznym gwarze, który było słychać w tym mieszkaniu. Dużo czasu poświęciła mi pani Wanda Zając, sekretarka w Teatrze im. Juliusza Słowackiego, która oprowadziła mnie po teatralnych zakamarkach.

Scenariusz książki wielokrotnie ulegał przebudowie. Nawet gdy miałam dokładny plan, który starałam się realizować, w trakcie pisania okazywało się, że jednak ostateczna wersja będzie inna. Przeprowadziłam 270 godzin wywiadów, spisanie ich było zaledwie pierwszym etapem pracy. Aby uzyskać jednolity charakter stylistyczny, wypowiedzi osób występujących w książce zostały zmodyfikowane przez moje pióro, przy zachowaniu ich intencji i indywidualności. Na podstawie wielu rozmów stworzyłam własny obraz, przesuwając „kamerę" z planu na plan i oddając głos kolejnym postaciom. Bohaterowie mojej opowieści zgodzili się z taką formą przekazu. Potwierdzeniem, że to dobry kierunek, była aprobata pisarzy, którzy czytali fragmenty tekstu – Kazimierza Brauna, Kiry Gałczyńskiej i Jarosława Abramowa-Newerlego. Dodało mi to skrzydeł.

Ostatni etap pisania książki to telespotkania z Marią Nowotarską. Umawiałyśmy się na określoną godzinę i szykowałyśmy się jak na wielkie wyjście. Do tego lampka wina lub koniaku, kawa, ciasteczko i… już możemy rozmawiać. Początek rozmowy to szczegółowy opis, jak wyglądamy i co pijemy. Jacek się uśmiechał, gdy wracał z uczelni i mówił: „byłaś" dzisiaj na spotkaniu z panią Marią?

W 2013 roku nastąpiła kolejna zmiana w naszym życiu. Jacek otrzymał pracę na University of Texas at Austin. Z New Jersey przeprowadziliśmy się, jadąc przez dziewięć stanów na koniec świata – do Teksasu. Mieszkamy na przepięknym osiedlu, wśród pagórków, palm kokosowych i kwitnących kaktusów, w Austin – mieście prężnie się rozwijającym, z nowoczesną architekturą, pełnym młodych ludzi i wszechobecnej muzyki. Tylko znów trzeba było od początku budować swój świat i oswajać nową rzeczywistość.

***

Książka powstawała dużo dłużej, niż to przewidziałam, w latach 2005–2013, ale wiele się przez ten czas nauczyłam. Pisałam ją głównie w New Jersey, blisko wielkich, tętniących życiem metropolii – Nowego Jorku, Filadelfii, Bostonu i Waszyngtonu, w naszym domu pomiędzy Atlantykiem a Appalachami. Była moją przygodą z teatrem i z cudownymi ludźmi. Przywiązałam się do

niej i żal mi się z nią rozstawać. Ale od teraz musi już radzić sobie sama.

Książka jest publikacją multimedialną. Pod spisem fotografii został wydrukowany link i QR code, który przekierowuje czytelnika na stronę internetową, gdzie znajduje się galeria kolorowych fotografii w wysokiej rozdzielczości.



Publikacja jest dostępna w sprzedaży w księgarniach stacjonarnych w Polsce i w księgarniach internetowych.

Księgarnia internetowa Gandalf wysyła książki za granicę i przyjmuje karty kredytowe.

http://www.gandalf.com.pl/a/sokolowska-gwizdka-joanna/

Inne księgarnie:

http://zaczytani.pl/ksiazka/teatr_spelnionych_nadziei_kartki_z_zycia,druk

http://lubimyczytac.pl/ksiazka/3952985/teatr-spelnionych-nadziei-kartki-z-zycia-emigracyjnej-sceny

https://aksiazka.pl/produkt-302969,teatr-spelnionych-nadziei